TEATR WYBRZEŻE

PRZEDSTAWIA

SZTUKĘ

IZAAKA BABLA

ZMIERZCH

Egz. bezpłatny

ÓSMA PREMIERA 1967 roku
23 września
w Teatrze na Targu Węglowym
w Gdańsku

Dyrektor:
ANTONI BILICZAK

Kierownik artystyczny:
TADEUSZ MINC

Kierownik literacki:
RÓŻA OSTROWSKA

Projekt okładki:
Władysław Wasilewski

Opracowanie graficzne:
Aleksandra Baliszewska-Walicka

JERZY POMIANOWSKI O BABLU

Wszystko co napisał, mieści się w tomie skromnej objętości. Jednak trudno w dziejach nowego piśmiennictwa znaleźć innego pisarza, który z pomocą tak niewielu zdań powiedziałby tak wiele. Kilkadziesiąt krótkich opowiadań, jeden czy dwa dramaty, parę szkiców — zostawiło uderzająco trwały ślad w pojęciach i wyobraźni czytelników. Babel stał się literacką legendą radzieckiej Rosji dużo wcześniej, nim zaczęto go komentować i tłumaczyć na wyprzódki.

Urodził się za przedostatniego cara w 1894 roku. Dzieciństwo i młodość spędził w Odessie. Chociaż sam pisał gdzieś o holenderskich rabinach i uczonych w Piśmie, swoich przodkach, to jednak dzieciństwo spędził w takiej samej chyba klitce, w jakiej mieszkał bojaźliwy, chorowity chłopak z „Historii mojego gołębnika", dręczony głodem wyobraźni i obijający się wśród biedaków, woźniców, pomyleńców, tragarzy i gangsterów z portowego przedmieścia. Odessa jest dla całej Rosji miastem najniezwyklejszych przygód i facecji, a zasługuje na tę opinię tak samo jak Marsylia, Neapol i Lwów. Zamieszkiwali to miasto Rosjanie i Grecy, Żydzi i Niemcy, otaczała je tyraliera ukraińskich chutorów. Do portu zawijały oceaniczne parowce wszystkich bander i cumowały obok czarnych barek przemytniczych. W tym mieście mieszkali na wygnaniu i Puszkin, i Mickiewicz, a twórcą jego świetności był książę Richelieu, biały emigrant z rewolucyjnej Francji. Odeskie dowcipy krążyły i krążą od Murmańska do Władywostoku, odeski spryt i akcent należą powszechnie do knajackiego szyku. Teatr odeski wciąż stanowi przedmiot najzaszczytniejszych porównań, gdy mowa o malinowych aksamitnych obiciach i nazwiskach sław, które tu niegdyś gościnnie występowały. Odessa dała nowej literaturze rosyjskiej więcej autentycznych pisarzy niż jakiekolwiek inne miasto. Jest wśród nich Wiera Inber. Jest Katajew, autor „Naprzód czasie!". Jest Ilia Ilf i Eugeniusz Pietrow, współautorzy „12 krzeseł" i „Złotego cielca", książek nieprześcignionych i pełnych zjadliwego, niefrasobliwego ducha, który w powietrzu tego miasta krąży. Jest Edward Bagrycki, poeta znakomity, który po wojnie domowej chodził z milicyjnym naganem, polując ponoć na Benię Krzyka (zwał się w istocie Miszka Japończyk), romantycznego bossa bandytów z Mołdawanki, bohatera ballad podwórzowych; wprowadził go później do literatury Izaak Babel.

Babel z tej plejady najwięcej przysporzył piśmiennictwu rosyjskiemu. Wychowany w mieście marynarzy i bywalców kawiarnianych, przeżył w nim i bunt na „Potiomkinie", i żydowskie pogromy. W opowiadaniach autobiograficznych wspomina zarówno o dręczącym niedostatku, który stanowił troskę całego jego dzieciństwa i młodości, jak o aspiracjach intelektualnych, mających w jego rodzinie charakter tradycji, żałosnej nieco i dziwacznej ze względu na brak środków i skrępowanie obyczajowe. Ojciec Babla oddał syna we wczesnym dzieciństwie do szkoły religijnej; do szesnastego roku życia Babel ślęczał nad hebrajskimi tekstami Biblii i Talmudu. Jednak udało mu się — mimo ograniczeń stosowanych wobec żydowskich dzieci — wstąpić do gimnazjum. W odeskiej szkole handlowej, noszącej imię Mikołaja I-go, wykładał francuski nauczyciel Vadaun, Bretończyk, który stał się dobrym

duchem lękliwego, chorowitego, zdolnego chłopca. Jego życzliwości i opiece należy przypisać zarówno ogromne oczytanie Babla, jego znajomość francuskiego języka i literatury, jak też niezupełnie zwykły fakt rozpoczęcia przez Babla prób literackich w języku francuskim. Opowiadania takie, wspomina Babel, „pisałem jakie dwa lata, ale potem zaprzestałem; typy pejzańskie i wszelkie refleksje autorskie wychodziły mi bezbarwnie, tylko dialogi się udawały".

W 1915 roku wyjechał do Kijowa, a potem trafił do Petersburga, postanawiając zarobkować piórem. Tułał się po sublokatorskich klitkach, z racji pochodzenia nie miał bowiem prawa do stałego meldunku. Redaktorzy pism literackich odrzucając rękopisy radzili mu, żeby raczej starał się zostać subiektem sklepowym. „Było ze mnie — pisał — rumiane, pulchne i niewyrośnięte ciasto, składające się z mieszanki tołstojowca i socjaldemokraty". Wtedy to trafił do Maksyma Gorkiego, który pierwszy się na nim poznał i dał mu impuls pisarski na całe życie. Gorki bronił potem Babla w słynnym liście otwartym z powodu protestu marszałka Budionnego przeciw „Konarmii".

W 1928 roku, w październiku i listopadzie, w pismach „Krasnaja Gazjeta" i „Prawda", miała miejsce ta polemika między Budionnym a Gorkim. Budionny: „Babel opowiada nam o Konnej Armii babskie plotki... Wymyśla niestworzone rzeczy, oblewa pomyjami najlepszych dowódców, komunistów, fantazjuje i po prostu kłamie... Pracę Babla osądziliśmy już dawno, oceniając ją jako paszkwil..." Maksym Gorki: „Jestem uważnym czytelnikiem, nie znajduję jednak w książce Babla nic z „karykatury i paszkwilu"; odwrotnie, książka ta wzbudziła we mnie miłość i szacunek dla żołnierzy Konnej Armii, pokazał mi ich bowiem jako prawdziwych bohaterów — pozbawieni strachu czują głęboko wielkość swej walki. Nie znam w literaturze rosyjskiej tak żywego i pięknego obrazu pojedyńczych żołnierzy, który by dawał mi jasne wyobrażenie o psychice całego kolektywu... Nie można w ciągu dziesięciu lat wychować od nowa ludzi, którzy przez wieki wychowywali się w kulcie złota i pieniędzy. Ale my musimy we własnym interesie odnosić się troskliwie i wyrozumiale do człowieka, który może nam pomóc w walce przeciw gnijącym, lecz silnym jeszcze ostojom przeklętej, hańbiącej przeszłości. Babel może to zrobić. Nie jest nas tak dużo, żebyśmy mogli odpychać beztrosko od siebie utalentowanych i potrzebnych nam ludzi..."

Babel był żołnierzem tej właśnie czerwonej armii kawaleryjskiej. Na koniu i na taczance, dudniącej asesorskiej bryczce z przymajstrowanym kulomiotem, przemierzył stepy ukraińskie i dobry kawał Polski.

IZAAK BABEL

PRYSZCZEPA

Przedzieram się na Leszniów, gdzie roztasowany jest sztab dywizji. Towarzyszy mi w drodze po dawnemu Pryszczepa — młody Kozak kubański, cham, ale nie natrętny, wylany z partii, przyszły gałganiarz, niefrasobliwy syfilityk, bałaguła. Ma na sobie malinową czerkieskę z cienkiego sukna i puszysty baszłyk, odrzucony na plecy. Po drodze opowiada o sobie.

Przed rokiem Pryszczepa uciekł od białych. Za karę wzięli mu rodziców na zakładników i zabili ich w kontrwywiadzie. Dobytek rozgrabili sąsiedzi. Kiedy białych przepędzono z Kubania, Pryszczepa wrócił do rodzinnej stanicy.

Był ranek, światło, chłopski sen zachłystywał się skisłym zaduchem. Przyszczepa narychtował wojskowy wóz i ruszył przez stanicę zbierać swoje gramofony, dzbany na kwas i ręczniki, które matka wyszywała. Wyszedł na ulicę w czarnej burce, z krzywym kindżałem za pasem; wóz wlókł się z tyłu.

Pryszczepa chodził od jednego sąsiada do drugiego, krwawe pieczęcie podeszew znaczyły jego ślad. W chatach, gdzie znalazły się rzeczy matczyne albo ojcowski cybuch, Kozak zostawiał podżgane staruchy, psy powieszone nad studnią, ikony wymazane łajnem. Stanicznicy ćmiąc fajki ponuro obserwowali tę jego drogę. Młodzi Kozacy zaczaili się w stepie i tylko rachowali w pamięci. Rachunek rósł, stanica milczała. W końcu Pryszczepa wrócił do opuszczonego domu ojcowskiego. Porozstawiał odwojowane meble na starych miejscach, tak jak to pamiętał z dzieciństwa, i posłał po wódkę. Później zamknął się w chacie, pił dwie doby, płakał i rąbał szablą stoły. Trzeciej nocy stanica zobaczyła dym nad chałupą Pryszczepy. Osmalony i obdarty, powłócząc nogami, wyprowadził z obory krowę, wetknął jej w pysk rewolwer i wystrzelił. Ziemia dymiła się pod nim, kółko sinego ognia wyleciało z komina i roztajało, w stajni ryknął zapomniany byczek. Pożar jaśniał odświętnie. Przyszczepa odwiązał konia, skoczył w siodło, rzucił w ogień kosmyk swoich włosów i zniknął.

(tłum. Jerzy Pomianowski)

Należał do tego osobliwego, prześladowanego plemienia, które w tak znacznej masie poparło rewolucję z całą nadzieją rozpaczy. Urodził się i wychował wśród tego odłamu narodu żydowskiego, który przepełniał ubogie miasteczka żyznej Ukrainy, wśród łaciarzy, wozaków i komiwojażerów, tych samych, których opisał Szolem Alejchem. Przez całe wieki ciężka ręka władzy spychała tych ludzi na samo dno, poza linię wszelkich praw, do czynności i zajęć najbardziej pogardzanych, by potem pogardą usprawiedliwić prześladowania. To na tych ziemiach każdej ruchawce, przez ucisk władzy wywołanej, dawano hasło: „Rizaty żydiw, lachiw ta jezuitiw!", każąc pilnie przestrzegać tej właśnie kolejności. Nędzarska ciżba miasteczkowa strzegła starej swojej wiary; tu właśnie rozwinął się mistyczny ruch chasydzki, tu powstały najżałośniejsze modlitwy śpiewne, ale żadna pomoc z niebios nie nadeszła i pogromy w Odessie, Kiszyniowie, Chersoniu stały się najgłośniejszą odpowiedzią czarnej sotni na ruch rewolucyjny w początku naszego wieku. Wyrzucone za ścisłą linię osiedlenia, skazane na prawny ucisk, szczute plemię mogło w swoich czarnych miasteczkach pocieszać się tylko bajędami o bogactwie Rotszylda i posyłać cherlawe dzieci do fabryki wunderkindów profesora Stolarskiego w Odessie, który smyczkiem wbił do głowy pierwsze zasady gry wszystkim prawie późniejszym wiolinistom światowej sławy, takim jak Jasza Hajfec, Misza Elman, Efraim Cymbalist, Busja Goldsztajn, a ponoć także Ojstrach. Reszta jednak, to znaczy setki i setki tysięcy, w pewnej chwili zaprzestała modłów i powitała nadchodzącą rewolucję jak Mesjasza.

Czerwoni partyzanci w osiemnastym roku mieli w swoich szeregach wielu czarniawych wyrostków, którzy pierwszy raz dosiedli konia właśnie z tej okazji, po ucieczce z jeszybotu czy z ojcowskiego warsztatu w żydowskim miasteczku.

Był to rzadki w historii widok — owo pospolite ruszenie wszystkich marzeń, wszystkich nadziei całego prawie plemienia, w momencie gdy proletariat państwa rosyjskiego powstał, aby znieść i klasowy ucisk, i narodową nierówność.

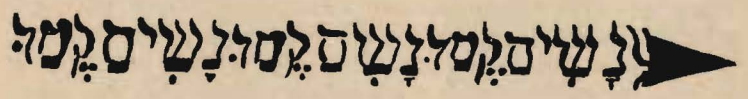

IZAAK BABEL

SYN RABBIEGO

Pamiętasz ty Żytomierz, Wasylu? Pamiętasz ty Teterew, Wasylu, tej nocy, kiedy sobota, młoda sobota skradała się śladem zmierzchu, przydeptując gwiazdy czerwonym obcasikiem?

Cienki róg księżyca pławił swoje strzały w czarnej wodzie Teterewu. Śmieszny Gedali, założyciel IV Międzynarodówki, prowadził nas do rabbiego Motele Bracławskiego na wieczorną modlitwę. Śmieszny Gedali kiwał kogucimi piórkami na swoim cylindrze w czerwonym dymie wieczoru. Drapieżne źrenice świec mrugały w izbie rabbiego. Pochyleni nad modlitewnikami głucho wzdychali barczyści Żydzi i stary błazen czarnobylskich cadyków dzwonił miedziakami w podartej kieszeni.

..Pamiętasz ty tę noc, Wasylu? Za oknami rżały konie i pokrzykiwali Kozacy. Pustynia wojny ziewała za oknem i rabbi Motele Bracławski, zaciskając palce na zbutwiałym tałesie, modlił się pod wschodnią ścianą. Potem rozchyliła się zasłona szafy i w pogrzebowym blasku świec zobaczyliśmy zwoje tory zawinięte w pokrowce z purpurowego aksamitu i błękitnego jedwabiu i zwisające nad torą zmiartwiałe, pokorne, piękne oblicze Ilii, syna rabbiego, ostatniego z dynastii...

I oto onegdaj, Wasylu, pułki dwunastej armii odsłoniły front pod Kowlem. W mieście zagrzmiała niedbała kanonada zwycięzców. Nasze wojska drgnęły i skotłowały się. Pociąg politoddziału zaczął odpełzać wzdłuż martwego grzbietu pól. I spotworniała Rosja, nieprawdopodobna jak stado wszy, zatupotała łapciami z obu stron wagonów. Majaczące w tyfusie chłopstwo pchało przed sobą stary garb sołdackiej śmierci. Lazło to na stopnie naszego pociągu i zlatywało, zbite ciosami kolb. Sapało to, czochrało się, biegło przed siebie i milczało. A na dwunastej wiorście, kiedy mi już zabrakło ziemniaków, rzuciłem w nich stertą ulotek. Ale tylko jeden z nich wyciągnął po ulotkę brudną trupią rękę. I poznałem Ilię, syna rabbiego z Żytomierza. Poznałem go od razu, Wasylu. I tak ciężko było patrzeć na następcę tronu bez spodni, przełamanego wpół ciężarem żołnierskiego tobołka, że — wbrew rozkazom — wciągnęliśmy go do swojego wagonu. Gołe kolana, niepodatne jak u staruchy, stukały o zardzewiałe żelazo stopni; dwie piersiaste maszynistki w marynarskich bluzach wlokły po podłodze długie, wstydliwe ciało konającego. Położyliśmy go w kącie redakcji, na ziemi. Kozacy w czerwonych szarawarach poprawili na nim opadłą odzież. Dziewuchy, wpierając w podłogę swoje krzywe nogi topornych samic, poddawały oschłej obserwacji jego organy płciowe, tę mizerną, kędzierzawą męskość wycieńczonego Semity. Ja zaś, który widziałem go jednej z moich tułaczych nocy, ja zacząłem układać rozsypane rzeczy czerwonoarmisty Bracławskiego.

Tu było zwalone wszystko na kupę — mandaty agitatora i notesy żydowskiego poety. Portrety Lenina i Majmonidesa leżały obok siebie. Węźlaste żelazo Leninowskiej czaszki i wyblakły jedwab portretów Majmonidesa. Kosmyk włosów kobiecych był zakładką tomu uchwał szóstego zjazdu partii, a na marginesach komunistycznych ulotek tłoczyły się krzywe rządki hebrajskich wierszy. Smutnym i skąpym deszczem sypały się na mnie kartki „Pieśni nad pieśniami" i naboje do rewolweru. Smutny deszcz wieczorny zmył kurz z moich włosów i powiedziałem do młodzieńca umierającego w kącie na podartym sienniku:

— Cztery miesiące temu, w piątek wieczorem, tandeciarz Gedali przyprowadził mnie do waszego ojca, rabbiego Motele, ale wyście wtedy nie byli w partii, Bracławski...

— Byłem wtedy w partii — odpowiedział chłopak, drapiąc się w pierś i skręcając się w gorączce — ale nie mogłem jeszcze zostawić swojej matki...

— A teraz, Ilia?

— Matka wobec rewolucji to epizod — szepnął i przycichł. — Przyszła moja litera, litera B, i organizacja posłała mnie na front...

— I znaleźliście się w Kowlu, Ilia?

— Byłem w Kowlu! — krzyknął z rozpaczą. — Kułacy odsłonili front. Objąłem pułk mieszany, ale za późno. Brak mi było artylerii.

Skonał, nim dojechaliśmy do Równego. Skonał ostatni z dynastii, pośród wierszy i onuczek.

Pochowaliśmy go na nieznanym przystanku. I ja, ledwie mieszcząc w truchlejącym ciele burze własnej wyobraźni, ja przyjąłem ostatnie tchnienie mojego brata.

(tłum. Jerzy Pomianowski)

Marc Changall — „Literatura"

Po demobilizacji Babel pracuje w odeskim gubernialnym komitecie partii, później w drukarni, w końcu zostaje reporterem gazetowym.

„Dopiero w 1923 roku nauczyłem się formułować myśli jasno i niezbyt rozwlekle" — powiada Babel. W 1924 roku, w IV numerze czasopisma „Lef", którego redaktorem był Majakowski, ukazuje się wreszcie kilka opowiadań Babla, m.in. „Sól", „List", „Śmierć Dołguszowa" i „Król". Od razu staje się jasne, że literatura radziecka wzbogaciła się o prozaika najwyższej klasy. Nie tylko Gorki takiego był o nim zdania, nie tylko pisarze rosyjscy, którzy, jak Konstanty Paustowski, Dymitr Furmanow, Lidia Sejfullina, Ilia Erenburg, widzieli w nim przykład dojrzałości i literackiego znaczenia całego pokolenia, nie tylko młodzi prozaicy i poeci, w których ręku widział piszący te słowa podczas wojny opowiadania Babla w rękopiśmiennych kopiach. Było przekonaniem powszechnym, że w literaturze zabrzmiał głos wyjątkowo wiarygodny, dobitny i urzekający. W 1928 roku z najwyższym uznaniem pisał o Bablu Romain Rolland. O rok wcześniej ukazał się w Polsce tom nowel pisarzy radzieckich pt. „Ludzie jaskiniowi" w przekładzie zasłużonego tłumacza i publicysty Mieczysława Binoma. Znaczną część tego zbioru stanowiły nowele Izaaka Babla. Tom poprzedzony był przedmową Juliusza Kadena-Bandrowskiego — luminarza przedwojennego olimpu kulturalnego Polski, wielbiciela Piłsudskiego — pełną uznania, a nawet wyraźnego entuzjazmu dla literackich i humanistycznych wartości pisarstwa Babla; uznanie tym cenniejsze i szlachetniejsze, że Kaden nie bawił się w klajstrowanie i bynajmniej nie ukrywał niechęci do politycznych natchnień, które te utwory ożywiły.

Tłumaczenia utworów Babla na języki Zachodu sprawiły wkrótce, że pisarz ten stał się w oczach europejskiej opinii zjawiskiem tyleż rewelacyjnym, co od mody niezawisłym.

Babel odrzucił wszelką pozę. Był jednym z pierwszych nowoczesnych pisarzy, którzy ze świadomej szczerości uczynili kamień węgielny swojego stylu. Pierwszy może z taką jasnością zrozumiał, że osnową literacką dzieła może być otwarty pokaz przemian zachodzących w osobowości narratora, autora; pokaz procesu wyzwalania się od kłamstwa, złudzeń, postaw nie autentycznych, póz i zdobniczych pokus.

W książce o Majakowskim Wiktor Szkłowski przypomina, że poeta sam jest tematem własnej poezji. Co nie znaczy oczywiście, że jest tematem jedynym. Jednakże nie ma wyzwolenia wszystkich sił talentu, jeśli się tej prawidłowości dość wcześnie nie zrozumie. Babel pojmował tę rzecz znakomicie. I oto cała jego twórczość

עוד שיר קטן נשאר לי

jest pokazem procesu wyzwalania się pisarskiej świadomości. Jest to zarazem wykres szlaku — od egzaltacji do prostoty. Nie był to szlak łatwy ani nieprzerwany. Na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich w 1934 roku Babel powiedział: „Jeśli chodzi o milczenie, to mógłbym być uznany za mistrza tego właśnie gatunku literackiego". Później przez lat dwadzieścia brak było w ogóle wznowień Izaaka Babla.

Wybór dzieł Izaaka Babla wyszedł niedawno w Rosji po latach urzędowego milczenia, po dwudziestu latach od bezprawnego aresztu (1939) i tragicznej, przedwczesnej śmierci w więzieniu (1941) tego pisarza, który sam jeden byłby wystarczającym dowodem artystycznej żyzności rewolucji.

Był jednym z pierwszych aresztowanych po objęciu przez Berię stanowiska komisarza spraw wewnętrznych.

W przedmowie do wydanego już tomu Ilia Erenburg pisze: „W „Konarmii" nie ma adwokackiej obrony rewolucji, zresztą rewolucji taka obrona nie była potrzebna. Bohaterowie „Konarmii" bywają okrutni, czasem są śmieszni: jest w nich wiele z burzliwego nadmiaru wód wiosennych. Jednak słuszność sprawy, o którą walczą i umierają, promieniuje z całej tej książki, chociaż ani autor, ani bohaterowie o tym nie mówią"

עוד שיר קטן נשאר לי

Marc Chagall *„Rewolucja"*

IZAAK BABEL

ZMIERZCH

(Zakat)

Sztuka w ośmiu odsłonach

Przełożył Jerzy Pomianowski

Osoby:

MENDEL KRZYK, właściciel przedsiębiorstwa przewozowego	**Andrzej Szalawski**
NECHAMA, jego żona	**Bogusława Czosnowska**
BENIA, młody galant } ich dzieci	**Jerzy Kiszkis**
LOWKA, huzar, urlopnik } ich dzieci	**Andrzej Szaciłło**
DWOJRA, stara panna } ich dzieci	**Lucyna Legut**
ARIE-LEJB, szames w bożnicy furmanów	**Tadeusz Gwiazdowski**
NIKIFOR, starszy wozak u Krzyków	**Stanisław Dąbrowski**
IWAN PIATIRUBEL, kowal, przyjaciel Mendla	**Henryk Sakowicz**
BEN ZCHARIA, rabin przedmieścia Mołdawanka	**Zenon Burzyński**
FOMIN, dostawca	**Józef Niewęgłowski**
JEWDOKIA POTAPOWNA CHOŁODENKO, handluje drobiem narynku	**Wanda Stanisławska-Lothe**
MARUSIA, jej córka	**Teresa Iżewska**
RIABCOW, właściciel traktierni	**Krzysztof Wieczorek**
MITIA, kelner w traktierni	**Ryszard Moskaluk**
MIRON POPIATNIK, flecista z traktierni Riabcowa	* * *
MADAME POPIATNIK	**Halina Kosznik-Makuszewska**
URUSOW, pokątny doradca	**Leon Załuga**
SEMEN	**Wojciech Kaczanowski**
BOBRINIEC, hałaśliwy Żyd; hałasuje, bo bogaty	**Henryk Abbe**
WAJNER, bogacz, cierpi na wadę wymowy	**Mieczysław Nawrocki**
MADAME WAJNER, bogaczka	**Irena Starkówna**
KŁASZA ZUBARIOWA, baba w ciąży	**Zofia Mayr**
MESJE BOJARSKI, właściciel interesu z gotową konfekcją pod firmą „Szedewr"	**Kazimierz Iwor**
SIEŃKA TUPACZ, przyjaciel Beni	**Marcin A. Idziński**
KANTOR CWIBAK	**Edward Ożana**
GRUBONOGI MŁODZIAN	**Krzysztof Kalczyński**
HANDLARZ BYDŁA	**Eugeniusz Lotar**
HANDLARZ OWSA	**Ryszard Ronczewski**
HANDLARZ SIANA	**Andrzej Grąziewicz**
TUREK	**Józef Skwierczyński**

oraz Dziewczyny, Chórzyści

Rzecz dzieje się w Odessie w 1913 roku

Scenografia:
JADWIGA POŻAKOWSKA

Kierownictwo muzyczne:
JERZY MICHALAK

Konsultant:
IZAAK DOGIM

Reżyseria:
PIOTR PARADOWSKI

Asystent reżysera:
HENRYK SAKOWICZ

Aktualna obsada na tablicy w hallu.

Utwory Babla spotkały się z najwyższym zainteresowaniem w Polsce. Wypada to podkreślić, zwłaszcza z tej racji, iż liczne fragmenty „Konarmii" dotyczą spraw znanych nam tutaj, ale zwykle w całkiem innej, przeciwstawnej relacji. Tak, rzecz dzieje się w 1920 roku i cały czas tam mowa o potyczkach z Polakami. Polakiem jest zastrzelony jeniec i Polakiem zarąbany generał, który nie chciał oddał szabli komu innemu, jak samemu Budionnemu. Ale okazało się, że polskiemu odbiorcy współczesnemu bardziej odpowiada ta prawdomówna i nie ukrywająca własnych słabości relacja Babla — pełna zresztą kombatanckiego uznania dla dzielności przeciwnika — niż błyszczące sztabowym lakierem relacje oficjalne z jednej strony. Gdzież one zresztą? Prócz prac Piłsudskiego i Tuchaczewskiego — tylko kilka przebrzmiałych już sprawozdań dziennikarskich i powiastek pisanych dla doraźnego użytku. A chwila była ważna, jedna z najtragiczniejszych w długich i bolesnych dziejach ludów Polski i Rosji. Trzeba znać koniecznie rzetelne o niej świadectwo.

Dwa wydania „Utworów wybranych" Babla zniknęły w 1961 roku z polskich półek księgarskich, każde w ciągu kilku tylko dni. Książeczka ta w plebiscycie „Polityki", tygodnika społecznego, cieszącego się dużym autorytetem, zyskała pierwsze miejsce na rocznej liście najlepszych utworów obcych pisarzy. Jak się zdaje, żadna jeszcze książka radziecka nie spotkała się w Polsce z tak gorącym i jednomyślnym odzewem czytelników. Stało się to w okresie, gdy wiele innych znakomitych książek pisarzy ze wszystkich stron świata trafiało już bez przeszkód do naszych rąk.

Już wśród pierwszych opowiadań Babla szczególne i znaczne miejsce zajmowały utwory związane z przeżyciami dzieciństwa i z kolorowym, egzotycznym, okrutnym i pociesznym światem odeskiego przedmieścia. Biegunami tego życia była melina Beni Krzyka i patriarchalna siedziba ostatniego cadyka z czarnobylskiej dynastii. Mieszkańcy tego świata chowali się na uliczkach Mołdawanki i w zaułkach Berdyczowa, ale wielu z nich zginęło tak, jak syn rabbiego, Ilia Bracławski — na bitewnych polach domowej wojny. W całej literaturze nie znajdzie się świetniejszej, gorętszej, zwięźlejszej i bardziej dramatycznej niż u Babla relacji o tym świecie, dziś już zaginionym. Chyba u Adolfa Rudnickiego, bo także dla niego los żydowski jest skrajnym, więc najbardziej uderzającym przypadkiem wszelkiego losu ludzkiego. Większość innych opowiadań „z życia żydowskiego", powstałych przed godziną zagłady — jest już dzisiaj właściwie nie do czytania. Wydają się małostkowe, partykularne, brak w nich przeczucia tragedii, brak poczucia niepowtarzalności tego życia, o którym traktują. Razi to właśnie w tych książkach, które pisane były dla utrwalenia rysów ginącego już świata tradycji; jeszcze jeden, znany mi, dodatni wyjątek również należy do piśmiennictwa polskiego: mówię o powieści „Głosy z ciemności" Juliana Stryjkowskiego.

Opowiadania Babla ostały się zaś razem z pysznym zbiorem obserwacji obyczajowych, z nutą ironii, z klimatem zawadiactwa i małomiejskiego szyku. W tym regionie twórczości Babla najwybitniejsze miejsce obok „Opowiadań odeskich" zajmuje dramat „Zmierzch", który należy niewątpliwie do arcydzieł literatury scenicznej. Klarowność jego akcji, konfliktów, charakterów i stylu jest uderzająca. Szkoda szukać tu tonu i klimatu znanego ze sztuk należących do gatunku dramatu rodzinnego. Przerasta wszystkie chyba znane mi dzieła tego rodzaju o cały rozmach przenośni społecznej. Wobec swoich przedmiejskich bohaterów Babel wszędzie stosował chwyt homeryckiego wyolbrzymienia, używany zwykle przez innych pisarzy dla efektów paradoksalnych czy komicznych. Otóż w „Zmierzchu" chwyt ten obnaża drugie dno prostej historii o starczej miłości wozaka portowego, Mendla Krzyka, i o tym, jak synowie porachowali się z ojcem i z kochanką. Niepostrzeżenie dla czytelnika, powszedni i groteskowi bohaterowie tej odeskiej sagi przybierają postać imponującą, demontrując żałosną wielkość ludzkich losów, które tak samo są nieodwracalne i niepowtarzalne na przedmiejskiej ulicy, jak na dziedzińcach zamku Króla Leara. Przewrotny dowcip i zawiesistość języka „Zmierzchu" czynią przy tym z tej sztuki rzecz szczególnie bliską nam, współczesnym jej czytelnikom; każdy, kto ją czyta, musi chyba zastanowić się, że powstała równocześnie z „Operą za trzy grosze" Bertolda Brechta i że zbieżność stylu i postaw obu tych pisarzy wcale nie jest rzeczą przypadkową. „Zmierzch" wydaje się być dziełem autentycznego geniuszu. Odniósł w nim kiedyś pamiętny sukces reżyser i aktor Aleksy Dikij, twórca II MChat-u. Erenburg twierdzi, że postacie tego dramatu imponują swoim rozmachem, pełnią ludzkich cech — wszyscy, kowale i wozacy, szamesi i przekupnie, zabijaki i urlopnicy, Rosjanie i Żydzi. Ta właśnie ich cecha sprawia, że figur tych nie imają się ankietowe zastrzeżenia asekurantów, którzy radzi by przemilczeć cały świat wspomnień Izaaka Babla. Trzeba jednak pamiętać, że bogactwo, barwność i ludzka pełnia życia, w „Zmierzchu" opisanego, więcej jedna sympatii dla jego niezupełnie cnotliwych bohaterów, niż zjednać sobie jej mogą najwznioślejsze nawet schematy i szablony pozytywne.

Lektura tego dramatu i opowiadań odeskich Babla przywodzi mi na pamięć obrazy i rysunki Marca Chagalla. Obaj ci artyści wyrośli w tym samym świecie, choć w młodości nigdy nawet o sobie nie słyszeli. Ale zadziwiająca zbieżność ich tak konkretnych

Marc Chagall *„Sabat"*

wizji stąd się przede wszystkim bierze, iż na różnych krańcach rosyjskiej ziemi przeżyli — i zapamiętali jako najważniejsze we własnym życiu — najgorętsze, zwrotne lata naszego wieku, lata społecznej rewolucji, ogromnego przewrotu, który ukazał im się w całej swojej nieodwołalnej, gorzkiej i solennej powszedniości. W tych właśnie latach całe pokolenie artystów dowiedziało się, co naprawdę jest trwałe i ważne, a co trzyma się tylko siłą bezwładu, na czym naprawdę ludziom zależy, o czym się pamięta w ostatniej godzinie, za co człowiek jednak gotów jest umierać, jaki jest prawdziwy smak soli, chleba, ludzkiego słowa i nadziei. Jak u Chagalla, bohaterowie Babla cwałują na zgonionych koniach i wloką się po kamiennych ulicach pod pustym niebem osamotnionych kochanków, na ziemi pełnej upadłych bóstw i cierpiących ludzi, krzyżowanych, lecz wciąż buntujących się, wciąż nienawidzących przemocy i nieszczęścia.

(Jerzy Pomianowski — fragmenty wstępu do „Utworów wybranych" Izaaka Babla, Czytelnik, W-wa 1964)

IZAAK BABEL

KRÓL

Obrzęd ślubny skończył się, rabin opadł na fotel, potem wyszedł z pokoju i zobaczył stoły ustawione wzdłuż całego podwórza. Było ich tak dużo, że aż ogon wystawał za wrota, na Szpitalną ulicę. Nakryte pluszem stoły wiły się po podwórzu jak węże, którym na brzuch położono łaty różnych kolorów — i te łaty z pomarańczowego i czerwonego pluszu śpiewały gromkimi głosami.

Z mieszkań zrobiono kuchnie. Przez zakopcone drzwi walił tłusty płomień, pijany, nabrzękły płomień. W jego oczadziałych promieniach piekły się babie twarze, starcze, drżące podbródki, zasmolone piersi. Pot różowy jak krew, różowy jak piana wściekłego psa, oblewał te kupy rozrosłego, okliwie cuchnącego człowieczego mięsa. Trzy kucharki, nie licząc pomywaczek, szykowały ucztę weselną, a królowała nad nimi siedemdziesięcioletnia Rojza, tradycyjna jak zwój tory, drobna i garbata.

Przed wieczerzą na podwórze wkręcił się jakiś nie znany gościom młody człowiek. Zapytał o Benię Krzyka. Wziął Benię na stronę.

— Słuchajcie no, Król — powiedział młody człowiek — mam wam parę słów do powiedzenia. Przychodzę od cioci Chany z Kosteckiej...

— No dobrze — odpowiedział Benia Krzyk, zwany Królem — co to za parę słów?

— Nowy prystaw objął wczoraj cyrkuł, kazała wam powiedzieć ciocia Chana...

— Wiedziałem to już przedwczoraj — odpowiedział Benia Krzyk. — Dalej.

— Prystaw zrobił zbiórkę na cyrkule i trzymał mowę...

— Nowa miotła dobrze miecie — odpowiedział Benia Krzyk — On chce mieć obławę. Dalej...

— A kiedy będzie obława, wiecie wy, Król?

— Będzie jutro.

— Król, obława będzie dzisiaj.

— Kto ci to powiedział, chłopczyku?

— To mi powiedziała ciocia Chana. Znacie przecież ciocię Chanę.

— Znam ciocię Chanę. Dalej.

— ...Prystaw zebrał cyrkuł i trzymał mowę. „My musimy zdusić Benię Krzyka, powiedział, bo tam, gdzie jest jego imperatorska mość, tam nie może być króla. Dziś, kiedy Krzyk wydaje siostrę za mąż i oni wszyscy tam będą, dziś właśnie trzeba zrobić obławę...".

— Dalej.

— No to szpicle zaczęli się bać. Oni powiedzieli: „Jak my dzi-

siaj zrobimy obławę, kiedy u niego jest święto, to Benia się rozgniewa i upuści dużo krwi". To na to prystaw powiedział: „Moja ambicja jest mi droższa...".

— No to już idź — odpowiedział Król.

— Co powiedzieć cioci Chanie względem obławy?

— Powiedz, że Benia wie względem obławy.

I ten młody człowiek poszedł sobie. Za nim wyszło ze trzech przyjaciół Beni. Powiedzieli, że za pół godziny wrócą. I za pół godziny już byli z powrotem. I to było wszystko.

Do stołu siadano nie według starszeństwa. Głupia starość nie mniej jest żałosna niż tchórzliwa młodość. I nie według zamożności. Podszewka ciężkiej kabzy utkana jest z łez.

W głowach stołu na pierwszym miejscu siedział narzeczony z narzeczoną. To ich dzień. Na drugim miejscu siedział Sender Eichbaum, teść Króla. To jego prawo. Historię Sendera Eichbauma warto znać, bo to nie taka prosta historia.

Jakim sposobem Benia Krzyk, bandyta i król bandytów, został zięciem Eichbauma? Jak został zięciem człowieka, który miał w majątku sześćdziesiąt dojnych krów bez jednej? Rozeszło się o napad. Nie dalej jak rok temu Benia napisał list do Eichbauma.

„Mesje Eichbaum — pisał Benia — zechciej pan położyć jutro rano pod bramą na Sofijskiej ulicy pod siedemnastką dwadzieścia tysięcy rubli. Jak pan tego nie zrobi, to pana czeka coś niesłychanego i cała Odessa będzie miała co mówić o panu. Z poważaniem, Benia Król".

Trzy listy, jeden jaśniejszy od drugiego, zostały bez odpowiedzi. Wówczas Benia wszczął postępowanie. Tych dziesięciu ludzi z długimi kijami w ręku przyszło w nocy. Kije były na końcu omotane pakułami maczanymi w smole. Dziewięć płomiennych gwiazd zapaliło się w krowiarni Eichbauma. Benia odbił zamki w oborze i zaczął wyprowadzać krowy jedną po drugiej. Czekał już na nie chłopak z nożem w ręku. Jednym ciosem obalał krowę i zatapiał nóż w krowim sercu. Na ziemi zlanej krwią pochodnie rozkwitały jak ogniste róże, zagrzmiały wystrzały. Strzałami Benia odpędzał krowiarki, które zbiegły się do obory. W ślad za nim także inni bandyci zaczęli strzelać w powietrze, bo jeżeli nie strzelać w powietrze, to można zabić człowieka. I oto kiedy szósta krowa z przedśmiertnym rykiem padła pod nogi Królowi, wtedy wybiegł na dwór Eichbaum w samych kalesonach i zapytał:

— I co będzie z tego wszystkiego, Benia?

— Jeżeli ja nie będę miał pieniędzy, to pan nie będziesz miał krów, panie Eichbaum. Jak dwa razy dwa.

— Zajdź no do mieszkania, Benia.

I w mieszkaniu dogadali się. Zarżniętymi krowami podzielili się po połowie. Eichbaum otrzymał gwarancję nietykalności i odpo-

Marc Chagall *„Arlekiny"*

wiednie zaświadczenie ze stemplem. Ale cud zdarzył się dopiero potem.

W czasie napadu tej groźnej nocy, kiedy ryczały dźgane nożami krowy, a cielęta ślizgały się w krwi matczynej, kiedy pochodnie pląsały jak czarne dziewice, zaś baby-dojarki żachały się i kwiczały pod lufami dobrodusznych browningów — tej groźnej nocy wybiegła na dwór w wyciętej koszuli córka starego Eichbauma — Cyla. I zwycięstwo Króla stało się jego klęską.

Po dwóch dniach Król bez uprzedzenia zwrócił Eichbaumowi całe zabrane mu pieniądze, po czym zjawił się wieczorem z wizytą. Przyodziany był w pomarańczowy garnitur, spod mankieta błyszczała mu brylantowa bransoletka, wkroczył do pokoju, przywitał się i poprosił o rękę córki Eichbauma, Cyli. Starego trochę jakby lekki szlag trafił, ale się podniósł. Stary miał w sobie jeszcze życia na jakieś dwadzieścia lat.

— Słuchaj pan, Eichbaum — powiedział mu Król. — Kiedy pan umrze, to ja pana pochowam na pierwszym żydowskim cmentarzu, koło samej bramy. Ja panu postawię, Eichbaum, pomnik z różowego marmuru. Ja pana zrobię starostą Brodzkiej synagogi. Ja rzucę swój fach, panie Eichbaum, przystąpię do pańskiego interesu jako wspólnik. My będziemy mieli dwieście krów, panie Eichbaum. Ja pozabijam wszystkich pachciarzy, prócz pana. Złodziej nie ośmieli się przejść tą ulicą, na której pan mieszka. Postawię panu willę na szesnastej stacji... I przypomnij pan sobie tylko, Eichbaum, pan przecież w młodości też nie był rabinem. Kto podrobił testament — może lepiej głośno nie mówić... I za

zięcia będziesz pan miał Króla, nie smarkacza, tylko Króla, panie Eichbaum...

I Benia Krzyk zyskał, bo był człowiekiem namiętnym, a namiętność panuje nad światem. Nowożeńcy spędzili trzy miesiące w żyznej Besarabii, pośród winnic, obfitego jadła i miłosnego potu. Później zaś Benia wrócił do Odessy, aby wydać za mąż czterdziestoletnią siostrę swoją, Dwojrę, cierpiącą na chorobę Basedowa. Teraz zatem, kiedyśmy opowiedzieli historię Sendera Eichbauma, możemy wrócić na wesele Dwojry Krzyk, siostry Króla.

Na tym weselu podano na kolację indyki, pieczone kury, gęsi, faszerowane ryby i rybną polewkę, w której perłowym blaskiem świeciły cytrynowe oka. Nad martwymi łebkami gęsimi kołysały się kwiaty jak dumne pióropusze. Ale czy tylko pieczone kury wyrzuca na brzeg pienisty przypływ odeskiego morza?

Cały kwiat naszej kontrabandy, wszystko, czym słynie ziemia od krańca do krańca, wprzęgnięte było tej gwiaździstej, tej błękitnej nocy do niszczycielskiego dzieła. Zamorskie wino rozrzewało żołądki, słodko podcinało nogi, tumaniło głowy i odbijało się czkawką, donośną jak pobudka wojskowa. Czarny kucharz z „Plutarcha", który przybył onegdaj z Port Saidu, przeszwarcował za strefę wolnocłową pękate butle rumu jamajskiego, oleistą maderę, cygara z plantacji Pierponta Morgana i pomarańcze spod Jerozolimy. Oto co wyrzuca na brzeg pienisty przypływ odeskiego morza, oto co przypada niekiedy odeskim żebrakom na żydowskich weselach. Na weselu Dwojry Krzyk dano im jamajskiego rumu i dlatego, nachlawszy się go jak trefne świnie, żydowscy żebracy zaczęli ogłuszająco stukotać swoimi kosturami. Eichbaum, rozpiąwszy kamizelkę, przymrużonym okiem oglądał rozhulaną czeredę i czkał z lubością. Orkiestra grała tusz. Było tak, jak na dywizyjnej paradzie. Tusz i nic, tylko tusz. Bandyci siedzący w zwartym szyku z początku czuli się skrępowani obecnością obcych, ale później dali sobie folgę. Lowa Kacap rozbił flaszkę wódki na głowie swojej ukochanej, Monia-Artylerzysta strzelił w powietrze. Ale ostatecznych granic dosięgła ekstaza w momencie, gdy starym zwyczajem goście zaczęli obdarowywać nowożeńców. Bożniczni szamesi skoczywszy na stoły wyśpiewywali w dźwięcznym bulgocie tuszów ilość darowanych rubli i srebrnych łyżek. I tutaj przyjaciele Króla pokazali, co warta jest błękitna krew i niewygasła jeszcze rycerskość Mołdawanki. Niedbałym gestem rzucali na srebrne tace złote monety, pierścienie, sznury korali.

Ci arystokraci Mołdawanki nosili obcisłe malinowe kamizelki, ich barki opinały rude surduty, na ich mięsistych łydkach pękała skóra niebiańskiego lazuru. Prężąc się w całej okazałości, wypinając brzuchy, bandyci klaskali do taktu, krzyczeli „gorzko" i rzucali kwiaty narzeczonej, a ona, czterdziestoletnia Dwojra, siostra Beni Krzyka, Siostra Króla, oszpecona przez chorobę, z rozdętym wolem i wysadzonymi z orbit oczyma, siedziała na górze poduszek obok szczupłego chłopaka, kupionego za pieniądze Eichbauma i oniemiałego z żałości. Ceremonia składania podarunków miała się ku końcowi, szamesi ochrypli i nie było już zgody między basetlą a skrzypcami. Nad podwórkiem przeciągnął nagle lekki wiew spalenizny.

Marc Chagall *„Muzykant"*

— Benia — powiedział tatunio Krzyk, stary furman, który nawet wśród furmanów miał opinię grubianina — Benia, ty wiesz, co mi się zdaje? Mi się zdaje, że u nas się palą sadze...

— Tatunio — odpowiedział Król pijanemu ojcu — ja bardzo proszę, niech tatunio sobie pije i zakąsza i może mi się tatunio nie przejmować o byle co...

I Krzyk-senior posłuchał rady syna. Przegryzł sobie i wypił. Ale obłoczek dymu stawał się coraz bardziej gryzący. Gdzieś w oddali zaróżowił się już skraj nieba. I już wystrzelił w górę wąski jak szpada język ognia. Goście wstali z miejsc wietrząc swąd, a ich baby zaniosły się piskiem. Bandyci wymienili spojrzenia. I tylko Benia na nic nie zwracał uwagi i był niepocieszony.

— Psują mi święto — krzyczał pełen rozpaczy — moi drodzy, błagam was, jedzcie i pijcie...

Ale w tym momencie na podwórzu zjawił się ten sam młodzieniec, który przyszedł na początku wieczoru.

— Król — powiedział do Beni — ja mam wam do powiedzenia parę słów...

— No, mów — odrzekł Król — ty zawsze masz w zapasie parę słów...

— Król — powiedział nieznany młodzieniec i zachichotał — to po prostu śmieszne, cyrkuł się pali jak ta świeczka...

Kramarze oniemieli. Bandyci uśmiechali się. Sześćdziesięcioletnia Mańka, macierz bandytów słobodzkich, włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła tak przeraźliwie, że pod jej sąsiadami zachwiały się krzesła.

— Mania, tu nie jesteś na robocie — zwrócił jej uwagę Benia — trochę zimnej krwi, Mania...

Młodzieńca, który przyniósł tę zdumiewającą nowinę, wciąż jeszcze dusił śmiech.

— Wyszło ich z cyrkułu może ze czterdziestu — opowiadał ruszając żuchwami — i poszło na obławę. To ledwie uszli piętnaście kroków, jak już się zapaliło... Lećcie zobaczyć, jak chcecie...

Ale Benia zabronił gościom spacerów dla oglądania pożaru. Poszedł sam z dwoma kolegami. Cyrkuł płonął jak się należy, z czterech stron. Stójkowi, trzęsąc zadami, biegali po zadymionych schodach i wyrzucali z okien swoje kuferki. W rozgardiaszu rozbiegli się aresztanci. Strażnicy byli pełni gorliwości, ale okazało się, że w najbliższym kranie nie ma wody. Prystaw — ta sama miotła, co dobrze miecie — stał na przeciwległym chodniku i gryzł wąsy włażące mu do ust. Nowa miotła stała nieruchomo. Benia przechodząc obok Prystawa, zasalutował mu po wojskowemu.

— Dobrego zdrówka, wasza ekscelencjo — powiedział ze współczuciem — co pan powie względem tego nieszczęścia? To wprost koszmarne...

Wlepił wzrok w palący się budynek, pokiwał głową i zacmokał wargami:

— Aj, aj, aj...

A kiedy Benia wrócił do domu, na dworze gasły już latarenki i na niebie zapalał się już brzask. Goście się rozeszli, a muzykanci drzemali z głowami opuszczonymi na szyjki swoich basetli. Tylko Dwojra nie miała zamiaru spać. Popychała oburącz odrętwiałego z lęku męża w stronę drzwi małżeńskiej sypialni i spoglądała na niego żarłocznie, jak kot, który trzymając w pysku mysz z lekka próbuje jej zębami.

(tłum. Jerzy Pomianowski)

Przedstawienie prowadzi:
Lidia Kacprzak

Sufler:
Nina Górna

Brygadier sceny:
Ignacy Dabkiewicz

Światło:
Bronisław Gruca

Rekwizytor:
Halina Majer

Kierownik techniczny:
Stanisław Matysik

Główny elektryk:
Tadeusz Kubacki

Kierownicy pracowni krawieckiej:
Olga Ludmerowa
Tomasz Szwajkowski

Kierownik pracowni stolarskiej:
Maksymilian Kitowski

Kierownik pracowni malarskiej:
Edmund Nowakowski

Kierownik pracowni tapicerskiej:
Stanisław Włodkowski

Kierownik pracowni perukarskiej:
Nina Polonis

Kierownik pracowni szewskiej:
Czesław Baranowski

Kierownik pracowni mechaniczno-ślusarskiej
Stanisław Parfimczuk

Modelator:
Marian Kujawski

Główny rekwizytor:
Stefania Kujawska

Kierownicy administracyjni scen:
Halina Ciechocińska (Gdańsk)
Halina Zemło (Sopot)

GDA-2094 4.7.67. 3000 egz. — Z-6.

I oto Mendel Krzyk, wierny z naszej synagogi, okazał się wcale nie mądrzejszy od Jozuego ben Nebi. Całe życie chciał on smażyć się na spiekocie, całe życie chciał stać na tym miejscu, gdzie go zastało południe. Ale Bóg ma stójkowych na każdej ulicy i Mendel Krzyk miał synów w swoim domu. Stójkowi przychodzą i robią porządek. Dzień — to jest dzień, a wieczór — to jest wieczór. Wszystko w porządku, drodzy wierni. Wypijmy kieliszek wódki!

(„Zmierzch")

Cena 2,50 zł